№ 51. Poniedziałek, dnia 11 Października 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA d. 29 Września (11 Października) 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Poniedziałek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie kop. 38.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1350 (nowy 11).

Z FONTANE'A.

Porzuć wątpienie to bez miary,
Przed którem szczęście ulata,
Chowaj uczucie silnej wiary,
Wiary w świat, pomimo świata.

Na matki jasne spojrz oblicze,
Gdy się swej wdzięczy dziecinie,
A pojmiesz: nie wszystko zwodnicze,
Co z falą żywota płynie.

O serce! bądź czyste jak kwiecie,
Cheszli nacieszyć się życiem:
Co w ludziach widzimy i świecie,
Naszem jest tylko odbiciem.

G. C.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ
W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg.— Patrz Numer 53).

Zadorowie najwcześniej, bo wraz po nabożeństwie odjechali do domu i tak się zwinęli, że nie kazali ani chwili czekać na siebie, nadjechali bowiem właśnie kiedy państwo Gasztoldowie wróciwszy z kościoła, obdzielili swoją czeladkę i odprawili ją do oficyny na święcone osobne dla służby przygotowane. Wraz po przywitaniu otworzono na oścież drzwi do pokoju, w którym było święcone, i tu według zwyczaju rozpoczęto od jajek, które Gasztold podał najpierwéj pani Zadorowéj z nieodłączném życzeniem aby na przyszły rok szczęśliwie doczekać, następnie Januszowi, a potém dopiero zwrócił się do żony, i szronem wieku okryci małżonkowie rzucili się w objęcia, a wiele niemym uściskiem musieli sobie bardzo wiele powiedzieć, bo po nim oboje mieli jakieś rzewne, ale nie smutne łzy w oczach. Kiedy pani Gasztoldowa dzieląc się jajkiem z Anną tuliła ją błogosławiąc do serca, dziewczę poszepnęło cichutko:

— Mateczko, a za Wandę.

— Dobrze dziecie, za Wandę, odpowiedziała z westchnieniem pani Gasztoldowa, i wzięły obie raz jeszcze po okruszynie jajka, a zacna opiekunka nieznacznie zakreśliła w powietrzu krzyż, szląc go gdzieś tam w obce kraje, za tą córką marnotrawną.

— Czegoż ją pani mam życzyć? zapytał Janusz biorąc kawałek jajka z talerza, który mu Anna podawała.

— Ah! niech tylko tak zawsze będzie jak dzisiaj, odpowiedziała z żywością.

— Czy pani się czuje tak szczęśliwą dzisiaj?

— O tak, bardzo! odpowiedziała bez namysłu Anna, ale razem poczerwieniała, jakby zawstydziła się tych słów swoich.

Janusz popatrzył na nią i powiedział po małéj chwili:

— I jabym nie chciał także ażeby od dziś za rok miało być co innego, jak to co jest dzisiaj.

Młodzi spojrzeli sobie w oczy, spojrzenie to krótkie było jak jedno mgnienie, bo Anna pokraśniała jeszcze bardzéj i natychmiast wzrok spuściła, a jednak to przelotne spojrzenie zdawało się w obojgu jakiegoś niezwykłego przewrotu dokonywać, jakby oboje związało jakimś węzłem nowym, którego sami sobie nie tłómaczyli, a jednak go czuli. Januszowi odtąd zaczęło być dziwnie dobrze i wesoło z Anną, a Annie serduszko biło jakoś tak błogo, taki spokój wewnętrzny uczuła, jakby miała pewność, że żadna burza życia nigdy jéj dotknąć już nie potrafi.

Święta przeszły wesoło, może nawet bardziej ożywione niż kiedy, bo powrót pani do Zalesia po tak długiéj niebytności, dawał powód do zjazdów sąsiedzkich. Na pierwszy dzień wszyscy zjechali się do Zalesia, z porządku rzeczy więc potem państwo Gasztoldowie z Anną wszystkich objechać musieli, zaczynając od Starego-dworu, gdzie na drugi dzień świąt całe sąsiedztwo się znalazło. Gwarno i ludno było w obszernych pokojach Starego-dworu, na ganku siedziała z fajkami starszyzna, przed stajnią gościnną stały wyprzężone landary, powozy, bryczki różnego kształtu, po dziedzińcu snuło się pełno ludzi w rozmaitych barwach a wszystko to odświętnie najparadniej ubrane.

Pani Zadorowa nie bardzo coś zdrowa i trochę utrudzona poprosiła Anny, żeby ją wyręczyła w zajęciu się przyjęciem gości; żwawa dzieweczka ucałowała ręce pani Zadorowej i chętnie wzięła się natychmiast do dzieła, Janusz znalazł się przy niej i obje razem wesoło i czynnie uwijali się około ugoszczenia sąsiadów, a tak im to ładnie i składnie poszło, że aż miło było patrzeć. Anna, ulubienica pani Zadorowéj, znała wybornie i sługi i kąty Starego-dworu i łatwo sobie radzić potrafiła, Janusz wspomagał ją czynnie, a może nawet tą razą więcej niż gośćmi zajęty gosposią, która w lekkiej bladolilowéj sukience taka była śliczna, że istotnie aż coś ciągnęło żeby na nią popatrzyć i młody Zadora patrzył téż na nią coraz częściej, a coraz bardziej powabną ją widział. Starsi patrzyli z daleka i mówili sobie: jaka to hoża para, jak im dobrze razem!

Stary podkomorzy wziął Janusza na stronę, poklepał go po ramieniu:

— Słuchaj Janku,—powiedział pokręcając białego jak mleko lecz zawiesitego wąsa, gdy ci wypadnie jechać w dziewosłęby, to do Gasztoldów i ja tobie miły chłopcze posłużę, takie gniazda mości dobrodzieju nie zawodzą.

Janusz na odpowiedź ucałował w ramię podkomorzego i serdecznie uścisnął dłoń starca pomarszczoną.

W parę tygodni po przewodach, kiedy ruch świąteczny się uspokoił i wszystko wróciło do zwykłego porządku, na balkonie od ogrodu siedziała pani Gasztoldowa z robotą w ręku, a przy niej na małym stołeczku Anna oparta o kolana matki, trzymając otwartą książkę. I książka i robota spoczywały bez użytku w rękach matki i córki, bo obie więcej zajęte były poufną gawędką co z serca do serca płynęła. Wieczór był cudownie piękny, cichy i ciepły, powietrze przepełnione balsamiczną wonią, a na nią składały się razem gęsto blado różo-

wym kwiatem okryte wyniosłe grusze, rozłożyste jabłonie i drobniejsze ale za to aż białe od kwiatu wiśniowe i śliwkowe drzewiny, topole, lipy i gęstwina drobnych krzewów, których świeżo rozwite listki nie dosyć jeszcze swą jasną zielonością okrywały szare gałązki, a po nad tym przepychem różnorodnych zapachów panowały gdzieś głęboko w trawie pochowane fijołki, silne, więc proste i skromne.—Pani Gasztoldowa i Anna pełną piersią oddychały świeżem powietrzem i z roskoszą napawały się cudownym widokiem wiosny w rozwiciu.

— Żal mi cię dziecię, mówiła pani Gasztoldowa głaszcząc jasne włosy jedynaczki, żeś ty tak samotna.

— Nie, matko kochana, ja się samotną nie czuję, odpowiedziało dziewczę i prawdę mówiło: w jéj serduszku tak było pełno w téj chwili.

— O, ja cię dobrze rozumiem, ale może właśnie teraz najpotrzebniejszą ci byłaby towarzyszka rówiennica, z którąby ci łatwiej i swobodniej przyszło podzielić myśl niż ze mną, bo chociaż ja całem sercem dzielę każdą twoję troskę i uciechę, sama powaga mojego wieku i stanowiska onieśmiela cię cokolwiek, i przyznaj sama, że nieraz usta zamyka.

— To prawda, mateczko droga, odpowiedziała Anna i zarumienioną twarzyczkę ukryła na piersiach matki.

— Nie dziwię się temu, mówiła dalej pani Gasztoldowa, i za złe ci tego nie biorę, bo wierzę że nie wynika to z braku z twej strony zaufania we mnie.

— A, matko moja ukochana, jabym ci ufać nie miała? tobie? a któż mojego szczęścia tak gorąco pragnąć może? To jakoś mimo mej woli i wiedzy się robi, że nie śmiem ci mówić wszystkiego co mi przez myśl się przesunie.

— Tak, to naturalny wynik téj różnicy wieku jaka pomiędzy nami zachodzi, i dla tego przyszło mi na myśl postarać się dla ciebie o jakąś towarzyszkę równych lat z tobą.

— Ah nie, mateczko kochana, zawołała żywo Anna, nie czuję się jeszcze na siłach zawiązywać nową przyjaźń, a w głosie jéj łzy zadrżały.

— Bo też strzedz się potrzeba, by nie rzucić uczuć przyjaźni pod nogi niewiadomych usposobień i charakteru ludzi; smutno to istotnie moje dziecie, ale wierzyć ludziom tak łatwo nie należy.

— A! mamo droga, wszakżeż Wandę znałam dobrze jak mi się zdawało, a mogłamże się spodziewać że ona tak łatwo i mnie i moją przyjaźń, ciebie, nas wszystkich odepchnie! Za bardzo mnie to bolało i jeszcze boli ażebym miała odwagę narazić się powtórnie na podobne cierpienie; czuję, że serce moje miękkie łatwo by się znowu pociągnąć dało i dla tego wolę już sama pozostać.

— Ale ty coś tak przywykła do towarzystwa rówiennicy, czyś pomyślała, że takie osamotnienie może ci być niezmiernie przykrem.

— Będę szukać rozrywki i zapełnienia czasu w pracy i nowem a ważnem zajęciu, jakie bym stworzyć sobie pragnęła.

— O jakiejże ty nowej pracy i zajęciu zamyślasz Aneczko? Z tem już przynajmniej z całą otwartością, dziecko moje, zwierzyć mi się możesz, zapytała z zajęciem pani Gasztoldowa.

— O! ja mam plany bardzo szerokie, byle tylko mamcia dopomódz mi w ich przeprowadzeniu chciała, odpowiedziała Anna z przymileniem patrząc w oczy matce.

— Ależ dopomogę z pewnością z całych sił swoich, mówiła p. Gasztoldowa spoglądając z rozkoszą na swoją śliczną dzieweczkę; dopomogę, byle tylko plan pracy był praktyczny i praca pożyteczna być mogła.

— O! pożyteczną będzie z pewnością a plan praktyczny okaże się tylko wtedy, gdy mama i ojciec dopomódz zechcą.

— O cóż to chodzi, powiedzże mi dziecko, bo mię niezmiernie zaciekawiasz.

— Zaraz, tylko niech mię mamcia wysłucha cierpliwie.

— Słucham już, słucham z całem wytężeniem i cierpliwością.

— Najpierwiej muszę mamie powiedzieć co mi się też w Warszawie najwięcej podobało i zajęło.

— A to bardzo ciekawa jestem, boć tam mnóstwo rzeczy zająć i podobać się mogło.

— Otóż mnie najbardziej podobały się ochronki.

— Ochronki?

— Tak, ochronki dla dzieci. Biedna wyrobnica co ciężką całodzienną pracą na chleb powszedni i kąt najemny dla drobnéj dziatwy zarabia, musi idąc do roboty odprowadzić do ochronki dzieci, i już bez niepokoju o nie cały dzień na zarobek poświęcić może, bo wie, że im się nic nie stanie pod opieką jeszcze pożyteczniejszą niż jéj własna. Otóż mamo droga, mnie na myśl przyszło, czyby i u nas na wsi takiej ochronki urządzić nie można dla dzieci, których matki zmuszone wyjść w pole na robotę, zostawiają je same we wsi bez opieki żadnej. Biedne dzieciny narażone są nieustannie na różnorodne niebezpieczeństwa, które grożą częstokroć ich życiu nawet—i mówiąc to Anna podniosła dotąd nieśmiało spuszczone oczy na matkę, w której oczach malował się wyraz nieopisanej miłości i dumy macierzyńskiej. Pani Gasztoldowa objęła córkę za szyję i na gładkiem jéj czole wycisnęła gorący pocałunek.

— A, dziecię ty moje, niechże ci Bóg błogosławi za taką myśl poczciwą, teraz już rozumiem czego ty chcesz.

— Tak, mamo droga, ja chciałabym zająć się tem, aby urządzić taką ochronkę u nas we wsi, sama czuwać nad nią i prowadzić ją dalej.

— I owszem, Anno moja, tę myśl łaska Boża tylko natchnąć ci mogła; istotnie że taki rodzaj zajęcia czas i myśl zajmie ci najpożyteczniej, chodzi więc tylko o obmyślenie w jaki sposób tę rzecz jak najpraktyczniej przeprowadzić można; ale możesz być pewną dziecko moje, że z całą usilnością dopomagać ci w tem będę.

— Już ja i o tem myślałam mateczko, jak to urządzić, i Anna szczegółowy plan swój matce opowiadać zaczęła.

Z drugiej strony na ganku dały się słyszeć kroki Gasztolda, który obszedłszy swoim zwyczajem gospodarstwo i wydawszy wieczorne rozporządzenia, wracał do żony i córki, z których obecnością w domu nie mógł się jeszcze oswoić i nią się nacieszyć, i ciągle był wesół,

U OGNISKA.

II.

„Bogowie upadają“, powiada któryś z bohaterów jednej z mitologicznych melopei Offenbacha, a wśród rozpasanych dźwięków *muzyki teraźniejszości*, wykrzyka za nim cały tłum finansistów, karyerowiczów, spekulantów, kantorowiczów, eksploatatorów, „fałszywych poczciwców“, praktycznych komedyantów cnoty, ex-kapłanów ze świątyń ideału i lekkomyślnych rozpustnych dzieciuchów, prowadzących życie na żart: „Poezya nie na dobie, precz z poezyą!“ — U nas w kraju, gdzie pokolenia całe nauczyły się czytać na utworach i dziełach natchnienia muzy rodzinnej, dziś te puste i bezmyślne okrzyki znajdują echo i powtarzane bywają naiwnie, jak żydowsko-niemiecko-francuzkie melodye Offenbacha, nic z charakterem naszym nie mające wspólnego. Przychodzi to jakoś bezwiednie, niby z nałogu; spada na dobrodusznych ludzi jak ze śniegiem lub deszczem, a wdzierać się zaczyna wszędzie. W zacnych kółkach rodzinnych słyszeliśmy pewne osoby nucące z pamięci *kaskady* tonów i dwuznaczników, któremi „szumi, wre i pryska“ Scylla i Charybda zepsucia. W apatycznej drzemce pogrążeni, płyniemy ku tym wirom na słabej i kruchej łodzi moralności publicznej, skołatanej tylu burzami. Dla tego też wszelki głos protestujący przeciw zmateryalizowaniu pragnień i żądz społecznego ducha, wszelkie wołanie, abyśmy jak owi ateńczycy: „oczy zwrócili na słońce“, każdy krzyk pragnący „zjadaczy chleba w aniołów przerobić“, powinny serce nasze przejmować radością. Odnawiać piśmiennicze wspomnienia wielkiej w literaturze epoki, kiedy trzech olbrzymów poetów panowało na parnasie naszym, jest to otwierać śluzy u źródeł czystej wody, która powrotnym swoim wylewem, jest w stanie oczyścić mętne kałuże wśród jakich grzęźniemy. Dzisiejsi ludzie, *najmłodsi*, których Narzymski pod fałszywem nazwaniem „Pozytywnych“ tak wiernie zcharakteryzował, ledwie ze słyszenia wiedzą, że istniał jakiś autor „Grażyny,“ jakiś śpiewak „Szwajcaryi“. Są tacy, którzy dziwią się że *E—ly*, w bieżącej chwili banków i kantorów wexlowych, misterne wiersze, pełne tajemniczej, duchowej woni układa; że Szujski, w twardej, silnej tragicznej, a wiązanej mowie budzi z grobów bohaterów i na scenę ich wprowadza; że Ujejski od czasu do czasu brząka w swoją *koralową*, po mistrzu odziedziczoną lirenkę; że Felicyan, językiem złotego dla literatury stulecia, kochającego Petrarkę przekłada.

Smutnem jest że między nami tak być może, a jednak tak jest w istocie. Bez ka-

w różowym humorze i teraz jeszcze z za progu odezwał się wesoło:

— O czemże moje panie gawędzą beze mnie?

— Dobrze żeś przyszedł mój Władysławie, właśnie tu Anna ma wielką prośbę do ciebie, mówiła nie zwlekając p. Gasztoldowa, któréj chodziło o jak najrychlejsze wcielenie w czyn projektu Anny.

— Moja jedynaczka ma prośbę do mnie? O cóż to chodzi? może jej się zachciało gwiazdki z nieba albo kafelka z pieca? pytał Gasztold a patrzył na ukochaną dzieweczkę z zachwytem prawdziwym miłości ojcowskiej.

— Nie, ojczulku ukochany, nie chcę ja ani gwiazdki z nieba, ani kafelka z pieca, alniech mi tylko ojciec daruje na własność te pustkę po Jasiukach, co stoi na samym brzegu wsi.

— A tobież co przyszło do głowy? cóż ci dziewczyno po tej pustce bez drzwi i okien? czy nie myślisz w niej przy drodze osiąść jak królewna w zaczarowanym pałacu i rzucać zaklęcia i czary na przejeżdżających królewiczów?

— Oj nie ojcze, królewicze będą sobie tamtędy jeździli tak samo spokojnie jak i dotąd jeżdżą, a drzwi i okna łatwo się znajdą jak ojczulek tylko zechce, mówiła przymilając się dzieweczka; ja tam nie zaczarowany pałac chcę urządzić ale poprostu ochronkę.

— Jaką ochronkę? co ona plecie? zapytał Gasztold żony. Pani Gasztoldowa wspomagając córkę opowiadać zaczęła szczegółowo cały plan Anny, Gasztold słuchał go z coraz wzmagającem się zajęciem, nie przerywał, nie przeczył, a kiedy skończyła, powiedział tylko:

— Hm! powiedzcie mi proszę, jakim to dzieje się sposobem; jać przecie do zupełnych półgłówków się nie liczę, i nie tylko sobie ale i drugim nieraz już poradzić umiałem, a jednak od dawna już każdego lata, ile razy przejeżdżam przez wieś, kiedy wszyscy pracą w polu zajęci, i widzę tę biedną dziatwę wioskową rzuconą tak bez żadnej opieki na łaskę i niełaskę wypadku, i patrzę jak się to biedactwo tarza po ulicy i głodne i niedopatrzone, a w dodatku nieostrożnością swą grożące nieraz pożarem całej wiosce, w głowę zawsze zachodziłem coby na to poradzić można, przemyśliwałem sobie różne sposoby i nic praktycznego wymyśleć nie umiałem,—a ot ona, dziecko prawie w porównaniu ze mną, zastosowała tu myśl prostą i łatwą. Wytłómaczcie mi proszę, czem się to dzieje, że tam gdzie chodzi o obmyślenie jakiejś opieki nad niedołęstwem ludzkiem, kobieta będzie zawsze o wiele szczęśliwszą w pomysłach od najwytrawniejszych mężczyzn; jaką potęgą wy dochodzicie do téj trafności planów, jakie w takim celu w jednej chwili rodzą się w waszej myśli.

— Potęgą uczucia, mój drogi, odpowiedziała pani Gasztoldowa. Mężczyzna i kobieta razem stanowią jednolitą społeczność ludzką, rozum i uczucie stanowią jéj dzwignię, władanie uczuciem powierzono kobiecie, rozumem mężczyźnie. Nie mówię tego w tem rozumieniu, ażeby mężczyzna nie miał uczuć a kobieta rozumu, lecz nie w uczuciach jest siła mężczyzny, nie w rozumie potęga kobiety; uczuciem to ona zdrowem i czystem dochodzi do doskonałości a często najwyższej potęgi natchnienia.

Na wsi, przy dobrym zarządzie, nie tak wiele kosztu i trudów wymagało urządzenie projektowanej ochronki; pustka którą Anna obrała sobie za lokatę dla swojej instytucyi, była to jedna z tych chat opuszczonych, jakich każda wieś większa lub mniejsza parę mieć musi. Na to, ażeby taka siedziba chłopska pustkowiem się stała, składa się czasem niedbalstwo gospodarzy, którzy nie umiejąc sobie dać rady z gospodarstwem i utrzymać go w ładzie i porządku, idą służyć za parobków zamożniejszym, a najczęściej śmierć spowodowana jakąś panującą epidemią, co wymiecie całą rodzinę domostwo zamieszkującą.

Zamożna rodzina Jasiuków wymarła cała na cholerę parę lat temu, jak to zwykle bywa w takich razach; ziemię należącą niegdyś do tej siedziby obrabiali na swoję korzyść sąsiedzi, wysługując się za nią dworowi robocizną, a chata i zabudowania gospodarskie stały pustką, czekając aż kiedyś znajdzie się we wsi jaki młody gospodarz, którego na niej osadzić wypadnie. Ale że na nowe gospodarstwo, chociażby i chłopskie, potrzeba pewnego funduszu nakładowego, więc ochotnika na nią jakoś dotąd nie było, zabito deskami drzwi i okna wyjęte, ażeby kto z przejeżdżających nie przywłaszczył ich sobie i stała bez użytku. Siedziba Jasiuków była niegdyś dobrze zagospodarowana, więc chata była obszerna i porządna. Na prośbę Anny p. Gasztold nie odkładając wydał rozporządzenie, ażeby chatę oczyścić i doprowadzić do stanu mieszkalnego; przerobiono ją nieco, powiększono okna, postawiono nowy piec z kominem, ogrodzono gęstym płotem obejmującym i dziedzińczyk spory, i ogród będący po za chatą, w którym kilkanaście starych grusz i jabłoń cień dać mogły w czasie skwaru letniego; do ogródka przybrano nawet kawałek łąki, aby dziatwa przywykła do swobody więcej do zabawy miejsca mieć mogła, a tak żwawo wzięto się do dzieła, że nie wyszło dwóch tygodni, kiedy ochronka stanęła gotowa. Anna większą część dnia przesiadywała w odbudowującem się domostwie, zachęcając datkiem i podwieczorkiem robotników do pośpiechu. Zajmowało ją to i cieszyło nad wyraz, rodzice zostawiali jéj zupełną swobodę w urządzeniu tego dobroczynnego zakładu, który swój byt miał być winien pomysłowi i staraniom dzieweczki. Nareszcie z uciechą Anny jednej soboty ukończono robotę, a w niedzielę uproszono księdza Józefata, aby po nieszporach poświęcił ochronkę. Cała gromada włościańska asystowała obrzędowi, przy którym zacny kapłan przemówił do chłopków, pouczając lecz w prostych słowach tłómacząc im potrzebę niezbędną dla dzieci opieki i nauki i tego zbawienne skutki; poczem zwracając mowę wprost do Anny, podziękował jéj w imieniu zebranego ludu za instytucyę ak błogosławionego pomysłu, za tę opiekę jaką ona osłonić pragnie niedołężną dziatwę, którą w pocie czoła pracujący rodzice zaniedbywać są zmuszeni, a zakończył zapewnieniem, że błogosławieństwo matek, które ona zastępować będzie, wyprosi dla niej niechybnie błogosławieństwo Boże. Anna szczęśliwa, wzruszona, zapłakała łzami najszczytniejszej rozkoszy i ukryła zapłonione lica na łonie matki. Państwo Gasztoldowie także do łez byli wzruszeni, zdawało im się że teraz dopiero ich jedynaczka ukochana urosła na kobietę. Ale w gronie świadków był ktoś, co z szczegól-

---

kafonicznie *sprytnej* i drażniącej nerwy *przygrywki* offenbachowskiego *akompaniamentu*, powtarzamy „Bogowie złudzeń szlachetnych i pociechy serdecznej opuszczają nas codziennie.“ Twierdząc to nie przesadzamy ani na jotę. Źle wprawdzie że tak jest, bo *bogowie* nasi, jak domowe *penaty* — przechodzą dalej i dalej, i z kolei stawać będą naprzeciw *płonących ognisk domowych* innych ludów, a przyjmując od nich ich blaski, udzielać im będą swego ciepła. Tymczasem pierwsze objawy tego fenomenu dają się już spostrzegać. Pan Juliusz Mien, paryżanin, a nauczyciel gładkiego i giętkiego języka Racinów, Voltair'ów, ale zarazem Mussetów i Wiktorów Hugo, mieszkający chwilowo w Krakowie, gruntownie zapoznał się z dziełami naszego Juliusza, tłómacząc je z wiernością niesłychaną i prawdziwym poetyckim talentem. Niedawno wszystkie nasze pisma literackie dawały sprawozdania brzmiące pochwałami o znakomitym przekładzie jego „Araba“. Felietonista „Ogniska“ miał sposobność przejrzenia innych, a wszystkie są na wysokości oryginału. Słowacki tłómaczony francuzkim wierszem, to zdaje się niepodobnem, a jednak wierzajcie nam czytelnicy i czytelniczki nasze, że w najtrudniejszych zwrotach językowych, w najdelikatniejszych odcieniach p. Mien zachował woń rodzimej nam poezyi — i w aleksandrynie nawet nie starł owego brzoskwiniowego puchu dziewiczej niewinności, jaki zdobi lica muzy, któréj natchnień słuchał zbyt wcześnie zgasły dla nas poeta. P. M. bawił lat parę w Królestwie, a obecnie przebywa w Krakowie. Przypadkiem wpadły mu w ręce pierwsze tomy dzieł Słowackiego i „Arab“ zwrócił jego uwagę barwnością obrazów, dosadnem malowidłem beduina i bratniej mu wschodniej przyrody. Wspomnienia francuzkiego Algeru i pustyni odżyły w jego umyśle przy tej *lekturze*. Wziął się gorąco do pracy i przetłómaczył poemacik, utwór młodzieńczej fantazyi autora „Mazeppy“. Poczem przeczytał wszystkie jego dzieła; ten cały nieznany mu świat poetycznych uroków, czarów i tajemnic, zachwycił go i zawrócił mu w głowie. Ale oddany mozolnym zatrudnieniom nauczycielskiego zawodu, nieśmiał znużonego umysłu poświęcić trudnemu zadaniu. Posłyszał jednak, że znakomity pisarz Lucyan Siemieński, przeciążony rozmaitemi literackiemi i dziennikarskiemi zatrudnieniami, po kilka wierszy codzień tłómaczył z „Odyssei“, i że pomimo tego przekład ten, z wspaniałą i pomnikową wytwornością formy dokonanym został. Zachęcony tym przykładem, zabrał się do roboty, — a owocem jej jest: „Lilla Weneda“ dotąd niewydana, wspomniany powyżej „Arab“, trzy drobne rapsody, stanowiące drugi zeszyt „Oeuvres choisies de J. Słowacki“, i pod prasą będące: „Mnich“, „Smutno mi Boże!“ „Poeta i Natchnienie“ i „Wschód słońca nad Sala-

nem wrażeniem patrzył na to wszystko: był to Janusz Zadora. Dnia tego w popołudniowych godzinach przyjechał do Zalesia i trafił kiedy właśnie pp. Gasztoldowie i Anna wybierali się spacerem na poświęcenie ochronki; poszedł z niemi razem. Uwinięto się tak żwawo z urządzeniem zakładu, że chociaż Janusz temi czasy kilka razy był w Zalesiu, teraz dopiero pierwszy raz o nim się dowiedział. Pomysł ten podobał mu się niezmiernie, lecz to go w szczególny sposób uderzyło, że i pomysł ów i jego wykonanie pochodziło z insynuacyi Anny, która cicha i spokojna nie rwała się nigdy jak Wanda do prac potężnych, do czynów świetnych; nieraz słyszał, że kiedy tamta zżymała się na ciasny zakres swojego pola na którem los ją trzymał podcinając skrzydła jéj lotu, Anna mówiła wtedy spokojnie: „Ja nie pragnę innego pola, moje siły na szerszem wydołaćby nie potrafiły.“ A jednak młoda, nieśmiała dziewica, cicho, bez rozgłosu wzięła się do dzieła poważnego i wysokiej poniosłości z niezmierną trafnością pomysłu i praktycznością w wykonaniu, co znaczy, że miała siłę i wolę, a w prostocie ducha, w czystości uczuć swoich, szukała w około siebie pożytecznej pracy i umiała ująć każdą sposobność do niej. I młody człowiek z najwyższą czcią patrzył na wiotką, łagodnym spokojem tchnącą postać dziewicy i pomyślał sobie w duchu: „oto ta jest prawdziwą kobietą czynu.“ Odtąd sympatyczne uczucie, które uczuwał w swem sercu dla Anny, zamieniło się w głębokie uwielbienie, bo widział w niej ideał kobiety, więc czcić ją zaczął w głębi swej duszy.

Anny serduszko biło szczęściem nieopisanem. Dzieckiem jeszcze będąc czuła niewysłowioną sympatyę dla Janusza i kochać go zaczęła wtedy, kiedy jeszcze nie znała miłości; uczucie to samorodne bezwiednie tlało przez wiele lat w jej młodziutkiem serduszku. Najlepiej jej było bawić się z Jankiem, tęskniła za nim kiedy go do szkół odwieziono, cieszyła się kiedy przyjechał na wakacye, ale myśl o miłości nie przeszła z serca do głowy dziewczęcia, i poznała że go kocha wtedy dopiero, kiedy spostrzegła że Janusz Wandę pokochał. Ból srogi przejął serce dziewicy na widok jego uczuć dla innej, ale potęgą modlitwy, siłą własnej woli pokonała wzburzone uczucie, które stopniowo przeszło w smutną rezygnacyę i błagała tylko codziennie Boga gorąco o szczęście dla Janka swego.

Dzisiaj zmienił się stan rzeczy; cześć Janusza dla Anny za nadto było głęboka i szczera, ażeby jej widzieć nie miała; nie ukrywał wcale swojej serdecznej sympatyi dla niej, ona czuła ją sercem i była nad wyraz szczęśliwa, dnie jej płynęły błogo, pełne miłości i pracy.

Nadeszło lato, a z niem gorąca w polu robota. O! jakże wtedy błogosławiono ochronkę. Dozór nad dziećmi Anna powierzyła mamce swojej, wypróbowanej uczciwości i łagodności kobiecie; zwano ją Tomaszową. Tomaszowa była wdową, miała jedyną córkę, mleczną siostrę Anny, i niezmiernie była do Anny przywiązaną; nie miała swego gospodarstwa i mieszkała przy bracie, któremu jak mogła wysługiwała się za kąt jaki zajmowała u niego, a utrzymywała się z ordynaryi dożywotniej, którą miała sobie przeznaczoną ze dworu. Maryśka, córka Tomaszowej, byłato hoża i pracowita dziewucha.

Anna wzięła obie na dozorczynie swojej ochronki, wiedziała, że na nie śmiało spuścić się może. Co rano kobiety wychodzące w pole odprowadzały dzieci do ochronki, a same już cały dzień spokojnie pracować mogły. W południe Tomaszowa gotowała w sporym umyślnie na to w murowanym kociołku kaszę z mlekiem i obdzielała nią dziatwę, która spożywała ciepły posiłek. Mleka dostarczały dwie krowy, które Gasztold Annie na ten użytek darował, a w kasze rozmaitych gatunków pani Gasztoldowa sama zaopatrywała spiżarnię córki. Po południu Anna przychodziła na parę godzin do ochronki i starsze dzieci uczyła czytać, pisać, rachować i katechizmu; najstarsza siostra księdza Józefata Paulina dopomagała jej w tem z ochoty, czasem i sam ksiądz Józefat, kiedy około swego pola nie miał pilnej roboty, przychodził także poślęczeć trochę nad dziećmi, to coś z pisma świętego przeczytał, to jakąś naukę dzieciom powiedział, krnąbrne skarcił po ojcowsku, potulne i nieśmiałe pogłaskał, ośmielił, i tak szło dobrze wszystko w porządku. Dzieci pod łagodnym Anny kierunkiem ośmielały się i rozumniały z każdym dniem; młodsze, które jeszcze uczyć się nie mogły, po całych dniach na trawie w ogródku bawiły się, to strojąc lalki z gałganków dostarczonych przez Annę, to grzebiąc się w piasku i wytykając na nim pałeczkami płotki, jak to zwyczajnie dzieci. Pod wieczór dawano im znowu coś do jedzenia a o zachodzie słońca, kiedy ludzie zaczynali się zchodzić z pola, Maryśka odprowadzała dziatwę na powrót po chatach.

(D. c. n.)

Pierwsze zawiązki sztuki w czasach przedhistorycznych.

Popęd do przystrajania swojej postaci tak dalece leży w naturze ludzkiej, iż można śmiało przypuścić, że pierwsi nasi rodzice wprzód pomyśleli o ozdobach i upiększeniu aniżeli uczuli potrzebę mieszkań i ubrania. Jak niezawodną jest rzeczą, iż pierwsza kobieta która stąpała niegdyś po ziemskich rozłogach, zatykała kwiaty we włosach i wieńce z nich wiła, tak również nie ulega wątpliwości, że towarzysz jej, łupy swoje myśliwskie, skórę z wilka lub niedźwiedzia zdartą albo orle pióra, jako trofea z dumą nosił na sobie.

Z postępem czasu, ozdoby tego rodzaju, jako łatwo ulegające zepsuciu i napotykające się wszędzie, uznano za niewystarczające, poczęto oglądać się za rzadszemi i trwalszemi, i chwycono się kamieni błyszczących, korali i muszli, przy której to sposobności odkryto zapewne perły. Dyademy, naszyjniki i naramienniki zastąpiły wieńce z kwiatów i używane były u wszystkich ludów i po wszystkie czasy.

W miarę jak człowiek, dzięki rozwojowi ducha wynalazczego, otaczał się rozmaitemi sprzętami i przyrządami, wzrastało też w nim zamiłowanie do przyozdobień, a budzący się zmysł jego estetyczny uwydatnił się najprzód na naczyniach i plecionkach.

Pierwszemi owocami artystycznej działal-

---

miną“. Mniemamy że prawdziwą przyjemność zrobimy czytelnikom naszym, przepisując tu trzy strofy z pomnikowej pieśni, które dadzą wyobrażenie, jak tłómacz umiał wedrzeć się na wyżyny góry, zamieszkanej przez boską Caliope, kędy na swoim *pegazie*, szparkim i gwałtownym lotem, wzbijał się nasz wielki poeta.

Dans le granit disjoint, au-dessus de la porte
S'élève un jeune chêne, en un triangle étroit
Formé par les dolmens. — La semence qu'emporte
Au hasard l'ouragan a choisi cet endroit.
Là, sur ses rameaux verts croissent des feuilles noires,
Qui ne laissent jamais pènétrer un rayon,
Un reflet dans ce lieu qui cèle tant de gloires.
— Je cueillis une fueille á ce sombre buisson.

Nul spectre, nul fantôme errant daus cette enceinte
Ne vint m'en empêcher; aucune vision
Du sein de ces rameaux ne gémit une plainte...
Seulement du soleil vint percer un rayon
Et jusques á mes pieds ce rayon de lumière
Tomba eomme un fil d'or. Un instant ébloui,
Je crus voir devant moi, de la harpe d'Homère,
Un des accords perdus — et j'avançai vers lui...

Et je tendis la main au milieu des ténèbres
Pour saisir ce fil d'or et le forcer, tremblant,
A vibrer sous mes doigts en sons tristes, funèbres,
A chanter la colère et l'hymne déchirant
Qui convient aux tombeaux, au néaut insondable
Des cendres d'ici bas. — Mais hélas! dans ma main
Cette eorde trembla, mouvante, insaisissable;
Et sans jeter un son... elle éclata soudain!

Piękność tego ustępu w formie samej misternie *wycyzelowanej*, nie potrzebuje aby ją podnosić, aby o niej wspominać, bije ona w oczy i oddźwięcza w uchu harmonią swego bogatego rytmu, zwracamy tylko uwagę na *wierność* odwzorowania myśli oryginału. Nie jest to przekład dosłowny, ale arcydzieła językowe nie dają się przekładać dosłownie; potrzeba umieć myśli i wyrażenia zastępować zwrotami właściwemi mowie, na którą się tłómaczy. W tej sztuce p. Juliusz Mien jest mistrzem prawdziwym — i dla tego, a może i z wielu innych przyczyn, w przyszłych naszych gawędach, zdarzy się nam nieraz zapewne sposobność mówienia o jego pracach.

Od poety do bajkopisarza, od przekładu z polskiego na francuzkie, do przekładu z francuzkiego na polskie, dwa kroki tylko — dla tego też *niedyskretnie* zaczynamy gawędzić o „Bajkach“ Lafontain'a, które wkrótce wychodzić zaczną tu i u nas w Warszawie, w tłómaczeniu na język polski, ze wspaniałemi illustracyami Gustawa Doré. Nie chcąc łapać ryb przed niewodem, jak to stare przysłowie utrzymuje, nie będziemy dziś rozprawiać szeroko ani o wewnętrznych zaletach artystycznych wydawnictwa, ani o przekładzie, który znamy i uważamy za bardzo dobry, ani nawet o rysunkach,

ności człowieka, są dwa wyżej wymienione rodzaje wytworów: wyroby garncarskie i tkaniny. Potrzeba i łatwość wykonania naprowadziły już pierwszych ludzi na wyrabianie naczyń z gliny i plecenie mat z sitowia. Materyały do tych wyrobów potrzebne są jedynemi, które bez pomocy narzędzi dadzą się użyć na rozmaite sprzęty. Na równi z garncarstwem postępowało tedy plecenie, sztuka tkacka. Tu i tam żywioł dekoracyjny sam z siebie się nastręczał. Przypadkowe splecenie różnobarwnego sitowia dostarczyło pierwszego wzoru, który niebawem zauważono i udoskonalono już później z rozmysłem. Lepienie garnków wywołało krążek garncarski a plecenie przyrząd tkacki, dwa wynalazki, o których wspominają już Mojżesz i Homer, i których widoczne ślady na malowidłach egipskich napotykamy.

Tak więc popęd człowieka do upiększania siebie samego i wszystkich do jego użytku służących przedmiotów, w trojaki objawił się sposób i wywołał tyleż rodzajów wyrobów, a mianowicie: przedmioty służące do ozdoby, naczynia garncarskie i tkaniny.

Te trzy kierunki rękodzielniczej działalności człowieka, z których wywinęła się następnie sztuka ornamentacyjna, są pierwocinami i podstawami całej późniejszej techniki. Wyroby z drzewa i kamienia są rzeczywiście dużo późniejszemi, do nich bowiem potrzeba już było koniecznie pewnych narzędzi, które musiały być wprzód wynalezionemi, zanim o wyrobach tych pomyśleć było można.

Przedmioty służące do ozdoby od najdawniejszych czasów szczupłe miały dla siebie zakreślone koło. Pominąwszy materyał na nie używany, wyroby dzisiejszych jubilerów w gruncie rzeczy nie wiele się różnią od egipskich, greckich i etruskich: dyademy, naszyjniki, naramienniki, pierścienie, brosze, agrafki i spinki, dziś takie same niemal przedstawiają kształty, jakie im już przed 3,000 lat nadawano.

Najcelniejszą częścią stroju ludzkiego były od najdawniejszych czasów perły, które przewiercone i nawleczone dostarczyły wzorów do rozmaitych figur, które jako ornamenta przeniosły się najprzód do sztuki garncarskiej, a potem do wszystkich rodzajów techniki. Naśladowanie pereł datuje się też od najdawniejszych czasów; małe kulki z bursztynu albo korali, a w ich braku nawet z palonej gliny, były ulubionemi ozdobami, — a samo z siebie się rozumie, że podobną rolę odgrywały i inne mniej trwałe ale gotowe w naturze materyały, jak np. owoce głogu, kaliny i t. p. któremi po dziś dzień tak lubią stroić się dzieci i dziewczęta wiejskie.

Obok sznura pereł, pierścień najważniejszą odgrywał rolę. Uszy, palce, ręce i ramiona zdobiono pierścieniami. Czy wzór do tej ozdoby wzięty został z natury, trudno powiedzieć z pewnością; poprzeczne przekroje trzciny albo kości wewnątrz pustej mogły jednak na ten kształt naprowadzić. Symboliczne znaczenie pierścienia jako oznaki pewnego ślubu, zobowiązania, a w szczególności związku małżeńskiego, jest odwiecznem. Połączenie wielu pierścieni utworzyło łańcuch, uważany, dziwna rzecz, za oznakę zarówno wysokiej godności, jak niewoli i hańby, zawsze jednak symboliką z pierścieniem pokrewny.

Linie spiralna i falowata również wcześnie pojawiają się w ornamentyce, w zastosowaniu głównie do przedmiotów służących do stroju. Do wyrobów tego rodzaju, na codzienny nawet potrzebnych użytek, jak do szpilek, haftek, agrafek, zapinek i t. p., które pierwotnie z ości rybich lub kolców cierniowych wyrabiano, linia spiralna doskonale się nadawała, i przez długi czas zapewne tylko na nie była używana, zanim przeszła do garncarstwa. Po niej nastąpiły zygzaki i rozmaite powikłania figur geometrycznych, które najprzód w układaniu kwiatów, muszel i t. p., a następnie w plecionkach zastosowanie znalazły.

Uwagi godną jest rzeczą, że człowiek od najdawniejszych czasów ciało swoje przystrajał ozdobami głównie na zgięciach oraz w miejscach gdzie kształt pewien przechodzi w inny, jak np. na szyi, w pasie, u osady ramienia, u pięści. Zwyczaj ten przeszedł później do budownictwa a nawet stał się stałem prawidłem, tsk, iż ozdób paciorkowatych, wyzębień i tym podobnych dekoracyj używano jedynie na częściach budowli występujących lub wklęsłych.

Daleko większa rozmaitość cechuje usiłowania ornamentacyjne w garncarstwie, i naczynia z najodleglejszych czasów przedstawiają już zmienność kształtów w podziwienie wprawiającą i dowodzącą jak dalece potrzeba do wynalazków pobudza. Już naczynia poprostu lepione ręką zdradzają swoim kształtem, że do ich wyrobienia musiano sobie wirowym pomagać obrotem. Zdaje się, że materyał kładziono na płycie kamiennej którą palcami obracano. W ten sposób wyrobione są mnogie urny i popielnice na najstarszych cmentarzyskach znajdowane.

Mimo całego niedołęztwa próbek dekoracyjnych owego czasu, wcześnie jednak bardzo nabył człowiek przeświadczenia, że trzeba się w tej mierze trzymać pewnych reguł; że jednakowe, co jakiś ustęp powtarzające się kształty, przyjemne robią wrażenie; jak niemniej, że pewne kontury zewnętrzne ornamentacyjnego rysunku, wdzięk jego wielce podnoszą, i że pomiędzy równo legle idącemi liniami ornamentów trzeba pozostawiać puste pasy, aby oko miało na czem wypocząć. Reguły te, które bystry zmysł spostrzegawczy naszych pra-ojców wynalazł, pozostały niezmiennemi po wszystkie czasy i na wszystkich stopniach rozwoju artystycznego.

Z początku ornamenta były wklęsłe, rysowane w głąb na massie glinianej i najczęściej polegały na poziomych a rzadko na prostopadłych liniach okalających naczynie. Szczególniej ulubionemi były koła współśrodkowe, których środek zaznaczano silnie; częstokroć między okręgami kół rzucano krzyże lub gwiazdy. Po obu stronach zygzaku lub linii falowatej dawano linie proste równoległe i jednę stronę takiego paska zakreskowywano zwykle.

Tkactwo pierwotne było właściwie ple-

---

których sława jest zbyt ustaloną, aby ją można było w wątpliwość podawać; zastanowimy się tylko pokrótce, czy ukazanie się takowego ma racyę bytu w obecnej chwili, i czy to nie jest próżnem marnotrawstwem sił materyalnych, kiedy kto zabiera się do puszczania w obieg prenumeracyjny i księgarski, dzieła tego pomnikowego znaczenia. Zwracamy tu na to dla tego uwagę, że jedno z miejscowych pism tygodniowych, pomimo aplauzu jakim cała prasa powitała zamiar wydania kompletnych bajek Lafontain'a, zdaje się przyganiać przedsięwzięciu, zowiąc je niepotrzebnem, zanadto zbytkownem, za kosztownem. My sądzimy inaczej. Na szerzenie pojęć o pięknie, nie ma dość *nakładów* drogich. Przyznajmy, że illustracye w bieżącej chwili, niosą w pośród niedość pod względem artystycznym wykształcone u nas massy, cywilizacyjną ogładę z sobą, że oświata przychodzi równie z rysunkiem, jak ze słowem; wszelkie zatem połączenie tych dwóch sił w sposób korzystny, bo dający *dobre* dzieło w *dobrem* tłómaczeniu, ze wspaniałemi kompozycyami słynnego rysownika, kompozycyami przemawiającemi zrozumiałym, *bajkowym*, przypowieściowym językiem, do umysłów równie *ciemnych* prostaczków, jak i *oświeconych* prostaków, jest ze wszech miar korzystnem. Tu nadto, nawet cena, dość znaczna w istocie, nikogo przerażać nie może. Kupując bowiem po 20 kopiejek zeszyt — żaden z prenumeratorów nie poczuje ciężaru jej, a po roku stanie się panem monumentalnego dzieła, miłego dla rodzinnego gronka starszych i młodszych, u domowego ogniska.

Ah! to ognisko, tak pokrewne z ogniem i pożarem, — jakże się tych „przyrodnich“ swych braci wstydzi i wypiera. Rok bieżący letnie swe niebo rumienił często wstydem czerwonej łuny. Zewsząd wiadomości przychodziły o miastach, miasteczkach i osadach w płomieniach, a ciągle i wszędzie budziły się w sercach i umysłach okropne podejrzenia, że bratnie dłonie rozniecały pożogę. Wolimy mniemać inaczej jednakże, wolimy nie wierzyć w hańbę, patrząc się ciągle i nieustannie na zacne i szlachetne objawy dobroczynności publicznej, spieszącej z ofiarnością serdeczną, ocierać łzy i goić *sparzelizny*, nieszczęśliwych *pogorzelców*, pozbawionych dachu i mienia. W kronikarskiem naszem zatem sprawozdaniu mijamy dymiące się gruzy i zgliszcza, i ruszamy dalej.... i dalej.... przeskakując wciąż dzisiaj od jednych do drugich ogólnikowych zarysów w naszych ramach nowiniarskich, bo tysiączne skarby materyałów felietonowych pozostawić musimy na później, kiedy już rozpiszemy się na dobre, po załatwieniu rachunków z przeszłością, z którą niepodobna nam było zapoznać się dobrze, *nowi*

ceniem. Nici obciążone u dołu glinianemi kulkami, przeplatano na poprzek innemi nićmi, a rozmaita grubość i barwa tych nici, tworzyła rozmaite desenie. Desenie te musiały oczywiście stanowić rodzaj pasów, a składały się z rozmaicie ułożonych kwadratów, trójkątów, i innych figur geometrycznych.

Daleko dziwniejszem wydaje się, że takie geometryczne ornamenta panują przeważnie również na wyrobach garncarskich i przedmiotach służących do ozdoby, chociaż dla nich świat roślinny daleko bogatszych zdawał się dostarczać motywów. Zdaje się, że pewien rytm panujący w regularnych figurach geometrycznych, bardziej wpadał w oko człowieka pierwotnego i bardziej go ku sobie pociągał, aniżeli skomplikowane kształty świata roślinnego i zwierzęcego.

Historya bardzo mało zachowała nam śladów pierwotnych sztuki zawiązków; daleko więcej pouczają nas pod tym względem szczątki znajdywane po miejscach niegdyś czci bóstwa poświęconych, w grobowiskach i mieszkalnych siedzibach. Podobnego rodzaju zabytki rozsiane są po całej ziemi, zarówno w starym jak i nowym świecie, w Ameryce i na wyspaah Oceanu Południowego. Odkryte w ostatnich czasach budowle na palach (Pfalbauten) dały nowy popęd badaniom tych pozostałości z czasów przedhistorycznych, za pomocą których nauka na archeologicznej drodze usiłuje dociec pierwszych zawiązków ludzkiej cywilizacyi. Badań tych nie można po dziś dzień uważać za skończone, — ale jak wykopaliska Pompei i Herkulanum pozwoliły nam głębiej zajrzeć w domowe życie starożytnych Rzymian, aniżeli wszelkie opowieści historyczne, tak też mnożące się z każdym dniem odkrycia przedhistorycznych zabytków, dają nam podobnych rezultatów nadzieję.

Pierwsi ludzie zmuszeni byli oczywiście wszystko czego potrzebowali brać w surowym stanie od natury i takie surowe przedmioty do rozmaitych celów stosować. Odnośnie zatem do zewnętrznej przyrody, praojce nasi stali na równi ze zwierzętami, nad któremi tę atoli mieli wyższość, że ze spostrzeżeń przy pomocy rozumu czynionych, przychodzili do pewnych wniosków, od których dochodzili znów do pewnych pojęć, a w końcu do pewnego z góry obmyślanego działania.

Zrazu gałęzie, muszle, kości, ości rybie i kamienie służyły zarazem za narzędzia, sprzęty i broń; ale spostrzeżenia poczynione w trakcie ich używania, poprowadziły do rozmaitych ulepszeń: nauczono się rozróżniać rozmaite stopnie twardości materyałów, świdrować, strugać i skrobać, aż nareszcie po długich i ciężkich trudach i zachodach, zdołano wytworzyć sobie pewną liczbę najniezbędniejszych do utrzymania i wygód życia przyrządów. Jak długo trwał ten stan pierwotny, setki czy tysiące lat, to pozostanie dla nas na zawsze ciemną okryte zasłoną, i tyle tylko pewna, że jedne ludy wcześniej drugie później dochodziły do wyższego stopnia ukształcenia, i że na ten ich rozwój nietylko przyrodzone zdolności, ale klimatyczne i miejscowe wpływy działały.

Pierwotny ten peryod działalności człowieka nazwano „wiekiem kamiennym" i słusznie, kamień bowiem główną w nim odgrywa rolę. Nie trzeba jednak spuszczać z uwagi, że najstarsze w cywilizacyi ludy, jak Egipcyanie, Indyanie i Chińczycy, już przed 4000 lat peryod ten przebyły, podczas kiedy Celtowie i Germanowie żyli w nim jeszcze za czasów Juliusza Cezara, a niektóre szczepy, jak np. Tunguzy i Eskimosy, po dziś dzień jeszcze w nim trwają.

(D. n.)

---

zupełnie bowiem, zajęliśmy obowiązki kronikarskie.

Sezon koncertowy rozpoczął się na dobre. Na pierwszy ogień — od tego ognia nie umiemy się wykręcić, płacze się on pod piórem mimowolnie — stanęło towarzystwo p. Strakoscha, brata słynnego *impressaria*, który niegdyś *arendował* głosem *boskiej* Patti. Młodszy i mniejszy nasz warszawski Strakosch, przywiózł nam pannę Donnadieu, która przechrzciła się po włosku Donnadio i zachwycała niezbyt liczną publiczność naszych dyletantów wdziękiem swojej osoby i *koloraturową* siłą głosu po słowiczemu wyrobionego. Dzielnie dopomagali jej, zyskując pochwały i oklaski pp. Hollman i Hollaender, wiolonczelista i skrzypek. Pierwszy nam nawet pozostał i ze współudziałem pani Modrzejewskiej, naszej uroczej „Julji" i „Desdemony", grał *adagio religioso* Servais'go, łącząc płaczące tony swego instrumentu z srebrnemi dźwiękami jej czarownego głosu deklamującego „U stóp krzyża" E-lyego i „Agar na puszczy" K. Ujejskiego. — P. Münchei-mer, zasłużony dyrektor orkiestry warszawskiego Wielkiego Teatru, tak życzliwie, z takiem poświęceniem urządzający koncerta na korzyść niezamożnych studentów, całą seryę swych kunsztownych kompozycyj rozwinął przed amatorami poważnej muzyki i tonami rozlicznych motywów, ujętych w arcyzręczną i wytworną orkiestracyę, tłómaczył starą legendę o Twardowskim. Wkrótce posypią się jak z rogu obfitości inne muzyczne popisy, a między niemi piękny koncert p. Zygmunta Noskowskiego, którego „illustracye muzykalne do bajek Krasickiego, zwróciły na siebie powszechną uwagę znawców.

Na tych symfonicznych nowinach kończymy dziś i zamykamy nasz felieton, który zapasem materyałów wzbierając, byłby niezawodnie przelał po za brzegi, miejsce dlań przeznaczone w naszym tygodniku, gdyby ręka zecera kładącego wędzidło w zęby rozrzuhalałego odcinkowego pegaza, nieosadziła go na miejscu, i nie zmusiła waszego felietonisty, zadziwionego gwałtownem wstrząśnieniem, do odłożenia wielu... wielu... ciekawych rzeczy, do przyszłej pogawędki.

X—i.

ZDOBYCIE GRENADY.

Opowiadanie historyczne. (*)

Kraina starej Grenady dziko i ponuro przedstawia się wstępującemu w nią podróżnemu. Długie łańcuchy gór, których massy granitowe i marmurowe gwałtownym wysiłkiem natury z łona ziemi wyrzuconemi się być zdają, zarysowują swe nagie szczyty na ognistem tle nieba południowego. Lecz wśród tych pustyń skalistych, kryją się zielone i żyzne doliny; wiejskie domki i uprawne pola ożywiają krajobraz; drzewa pomarańczowe, cytrynowe i figowe, rosną obok mirtu i róży, której wonne purpurowe kwiaty, z każdej szczeliny skał w świat boży wyglądają.

W głębi najdzikszych wąwozów, lub na najgroźniejszem urwisku tych skał stromych i ponurych, ujrzysz czasami ślady warownej twierdzy lub omszałą wieżycę, drżącą na swej kamiennej podstawie, lecz żywo jeszcze zachowującą pod bluszczem i zwaliskami pamięć tego rycerstwa chrześciańskiego, które po długich bojach zdobyło nareszcie Grenadę, tę „bramę niebios" jak ją nazywali poeci muzułmańscy.

Czasami, okrążając skałę, przechodzień zdziwiony usłyszy po nad głową ryk jakichś istot niewidzialnych niespokojne jego oko ujrzy nareszcie stado młodych byków, skubiących spaloną trawę na szczycie pobliskiej góry i oczekujących chwili, gdy ich wezwą na igrzyska ludowe, z dalekich stron tysiące widzów ściągające. Byki andaluzyjskie tworzą rasę dziką i niebezpieczną, z trudnością znoszą nawet obecność pasterza który ich strzeże, a ponury ryk, nasrożona postawa, gdy płomienne ich oko dostrzeże przechodnia w wąwozie na dole, niemało fantastycznego charakteru dodają krajobrazowi.

Wśród tej krainy, z wschodniej pochyłości gór Śnieżnych, *Sierra Nevada* zwanych spływają dwie rzeki *Xenil* i *Darro*, a łącząc się z sobą, u stóp chaotycznego złomu granitów, zwanego *Cerro de Santa-Elena*, i wspólnem już korytem płynąc, niosą swe wody do Gwadalkwiwiru. W dolinie rzeki Darro, na obydwóch jej brzegach rozsiadło się stare miasto *Grenada*; zaś na lewym brzegu, ku górom wysunięte, wznoszą się obszerne gmachy *Alhambry*.

Początkowo *pałac czerwony*, Alhambra, tak nazwany z powodu koloru cegieł nagmach ten użytych, był warownią, z której książęta Grenady mogli okiem sięgać aż do granic tej błogosławionej krainy, którą prawem zdobyczy ich własnością się sta-

(*) Ważny ten fakt w dziejach Hiszpanii powszechnie jest u nas znanym, dzięki pięknej balladzie, do której dostarczył wątku Mickiewiczowi. Okoliczność ta skłoniła nas po części do zamieszczenia niniejszego opowiadania, przedstawiającego fakt ten w świetle historycznem, a opierającego się głównie na źródłach hiszpańskich i arabskich. Historya różni się wielce od ballady, ale bodaj czy nie jest równie jak ona poetyczną. *P. R.*

ła. Alhambra pierwotnie mogła pomieścić 40,000 wojowników, i była zwykle miejscem schronienia emirów przed częstemi buntami poddanych. To, co dziś jeszcze zostało, jest tylko szczątkiem pałacu mieszkalnego emirów; w nim najcudniejsze twory architektury wschodniej oko nasze zachwycają. Odznaczają się one więcej elegancyą i wdziękiem, niż wielkością i wspaniałością. Tysiące legiend zostawiło swe wspomnienia w tym muzułmańskim przybytku rozkoszy i zbytku wschodniego. Na południowej stronie Alhambry rozciąga się dolina Ksenilu, która zachwyconym oczom przedstawia się jak ogród niezmierny, ożywiony wijącą się wstęgą błękitnych fal Ksenilu. Tu i owdzie rozrzucone wiejskie mieszkania i wille, noszą wyraźnie cechy arabskich budowli, a topniejące i spływające tu śniegi Sierry-Nevady, ułagadzają skwar słoneczny i utrzymują cudowną świeżość zieloności i bujność wegietacyi. Na tej samej pochyłości lecz nieco bliżej gór, znajduje się pałac zwany *Dżinaraliff*. Było to miejsce ulubione emirów Grenady, a nazwa jego: „*dom tancerek*“, okazuje cel jego i przeznaczenie. Tu, wśród wszelkiego rodzaju zmysłowych rozkoszy, wśród bogactw architektury i sztuki, wśród najcudniejszych, wonią przepełnionych ogrodów, trawili władcy Grenady długie godziny odpoczynku po bojach—wytchnienia po trudach i niesmakach panowania.

II.

W epoce, w której się opowiadanie nasze zaczyna, miasto Grenada liczyło czterykroć sto tysięcy mieszkańców a otoczone było murem 3 mile obwodu i 1,100 wieżyc mającym. Czternaście miast większych i mniejszych, dziewięćdziesiąt siedem obronnych zamków, nie licząc wielkiej ilości wiosek z ludnością pracowitą i przemyślną, stanowiły bogactwo i siłę kraju.

Po upadku maurytańskich państw Toledy, Korduby i Sewilli, w Grenadzie zgromadziły się ostatnie zasoby pierwotnej potęgi muzułmańskiej w Hiszpanii. Posłuszni zasadniczemu prawu swej wiary, *fatalizmowi*, nakazującemu im znosić cierpliwie jarzmo przez siłę narzucone, od lat wielu Maurowie grenadzcy błogiego zażywali spokoju, płacąc roczną daninę zwycięzkim królom Kastylii, którą okupywali sobie możność rozprzestrzeniania w bezpieczeństwie swego handlu i przemysłu i gromadzenia niezmiernych bogactw.

Lecz w roku 1478, na tronie emirów zasiadł Muleyben Hassan, z wojowniczego Zegrisów pokolenia, i pierwszym czynem jego było uwolnienie Maurów od hańbiącego ich haraczu. Gdy poseł Ferdynanda Katolickiego przybył żądając wypłacenia rocznej daniny, Muley-ben Hassan temi słowy go odprawił: „Powiedz twemu panu, że emirowie którzy głowę przed nim chylili, już w grobie spoczywają, w moim zaś skarbcu nie złota lecz klingi szabel i żeleźce kopij się znajdują“.

Ta dumna odpowiedź oburzyła rycerstwo hiszpańskie, które głośno o wyprawę przeciw wodzowi Islamu domagać się zaczęło; lecz król Ferdynand zajęty podówczas portugalską wojną, na późniejsze czasy zadośćuczynienie woli ich odłożył. Tymczasem Muleyben Hassan pałający nienawiścią ku chrześcianom i żądzą wojennej sławy uniesiony, pobudzony przez dzikie i wojownicze Zegrisów plemie, sam rozpoczął kroki wojenne, napadłszy w nocy na miasto Zahara, uważane dotąd za niezdobytą twierdzę. To miasto zasypiające spokojnie na mocy przymierza, zostało zdobyte, zburzone, a mieszkańcy w części wyrznięci, a w części w niewolę zabrani. *(D. c. n.)*

TEATR.

„Fałszywi Poczciwcy“ (Les faux bons hommes) Komedya w czterech aktach przez *Teodora Barières* przekład *J. Dzierzkowskiego*.

Przedstawiona po raz pierwszy przed kilkoma dniami komedya Bariéra należy swoją prostotą w koncepcyi, czystością i szlachetnością treści, zręcznością budowy, rozdrobnionym malowaniem typów, do dwóch epok, do jakiegoś pogranicza w dziejach dramatycznego piśmiennictwa francuzkiego. Rzeczywiście ukazała się ona w chwili (przed dwudziesty laty blisko) kiedy dzisiejszy półbożek tronujący na wszystkich scenach we Francyi, i jak każda płocha zdrożność łatwo i u nas zaaklimatyzowany, Wiktoryn Sardou, zaczął w lichych zlepkach udramatyzowanych scenery i, jak „Le dégel“ i Mr. Garat“ próbować tych sił, które tak świetnie zabłysnąć miały w „Les pattes de mouches“ (Ćwiartka papieru) jeszcze podobnych fakturą do komedyi E. Scribe, w satyrycznych wybornych utworach jak „Safanduly“ „Nasi najserdeczniejsi“ i „Rodzina Benoitonów“, a spadając z wyżyn co raz śmieszniej i bezczelniej, utonęły w błocie „Rabagasów“ „Stryjów Samów“ i „Andrei“ w których nareszcie autor przed wzrokiem tłuszczy, odsłonił z brutalnym realizmem tajemnice *alkowy*. Otóż dla słuchacza, który po raz pierwszy ujrzy „Fałszywych poczciwców“ dziwnem może się wydawać, że chociaż nie zna sztuki, coś mu ją ciągle przypomina; że pomimo prostych środków jakie znajdują się tylko w komedyach staro-mieszczańskiego repertoaru, jest coś, co zakrawa na *galimatias* i zamięszanie pełne zręczności *kulisowej* werwy, jaką Sardou posiadał w najwyższym stopniu. Przydługie dyalogi nieprzewlekają zbytecznie akcyi, epizodyczne postacie nie pętają działania głównych osób, prostota pomysłu wiąże się zgrabnie z figielkami scenicznemi, i całość, dzięki szlachetnej, uczciwej, poetycznej, chociaż realnej i satyrycznej przewodniej myśli, wychodzi nader sympatycznie, czyniąc z utworu jednę z najlepszych nowożytnych komedyj francuzkich. Sardou i inni czerpali w tym skarbie pełnemi rękami, a pomysły, postacie, sytuacye które tu spostrzegamy, powtarzały się już nieraz w całym szeregu dramatycznych sztuk, które nam przysyłano z nadsekwańskiej stolicy.

Barière przedstawił w niej walkę uczuć wzniosłych, szlachetnych, bezinteresownych z egoistyczną ciemnotą *episierskiego* społeczeństwa, broniącego się od ideału samolubstwem ukrywanem, komedyą dobroczynności, dobroduszności i uczciwości zasad. Fałsz widny na każdym kroku, ale odmalowanie tego kłamstwa i obłudy, schłostanie go ostrym biczem satyry, przepyszne od początku do końca, w całem przeprowadzeniu perypecyi, w znakomitych tych scenach, skrzących się dowcipem, życiem, humorem i pewną *zgryźliwością* przypominającą słynne słowa naszego poety: „bo kiedy gryzę co, to sercem gryzę“. Ludzie tu są *niedobremi* zaiste, ale kto wie czy z tych samych niemożnaby zrobić *ludzi dobrych*; nie tak jak w Sardou, gdzie łotry cynicznie popisują się łotrowstwem a słuchacz jest pewnym że ani walka życia, ani niedola, ani miłość, ani, zapał, żadnego z nich nie podniesie, nie uzacni, nie uszlachetni. Banda to *bursowiczów* spekulujących w czasie nieszczęść francuzkich na giełdzie, albo ciemna czerń komuny roznosząca barbarzyńską nałtową pożogę. W komedyach Sardou nie możemy się nigdy spotkać z Francyą wyższą, szlachetną, pracującą, kochającą;—wiecznie i wiecznie przesuwa on nam przed oczyma tylko *ten Paryż*, który turyści nasi wędrowni poznają. Paryż salonów, Paryż pół-światka, Paryż giełdowiczów, Paryż otchłani, w której błyski niebieskie nie świecą.

Nie podajemy tu szczegółowej treści „Fałszywych poczciwców“ jest ona bowiem nader prostą. Dwóch malarzy, z których jeden karykaturzysta, rysujący album „des faux bons hommes“, kochają się w dwóch córkach bogatego episiera. Ojciec wydaje swoje dziewczęta za mąż lub odbiera je narzeczonym, w miarę jak mniema, że będą mieć majątek lub nie. Jeden z nich udaje agenta giełdowego, pozyskuje tem łaski milionowego stryja i żeni się, drugi zaś, który nawet szlachetnem kłamstwem zmazać się niechce, ma przyjemność doczekać się ruiny majątkowej dorobkowicza i wtedy dopiero ofiarowuje swoją dłoń zubożałej i ukochanej przez siebie dzieweczce.—Kontur ten tak zwyczajny, wypełniony jest jaskrawemi barwami i tworzy doskonały obraz pełen prawdy, humoru i świetności. Kolorytu tego sprawozdawca, choćby w najobszerniejszej recenzyi, nie jest w stanie dobrze uwydatnić. My nie kusimy się nawet o to, zamierzamy bowiem tylko o oryginalnych sztukach i o arcydziełach europejskich dawać obszerniejsze artykuły. Krótką zaś i zwięzłą tylko charakterystyką każdej nowej tłómaczonej nowożytnej komedyi, wywiążemy się zawsze ze sprawozdawczego obowiązku naszego w obec czytelników „Ogniska“.

Artyści wykonali „Fałszywych Poczciwców“ z talentem im właściwym, tak że sztuka pomimo swojej lokalnej, czysto francuzkiej wartości, utrzyma się niezawodnie długo na scenie Teatru Rozmaitości. Genialny Żółkowski grał rolę ojca, z tem przeczuciem niezmnego sobie typu, jakie on jeden tylko posiada; każda chwila dramatyczna, każden

drobiazg, każden szczegół obmyślany starannie, wychodził okrągło i wiernie, tak że zapominało się zupełnie że patrzymy na aktora polskiego. Był to bowiem francuz, episier z pierwszych lat panowania Napoleona III, figura pełna życia i prawdy. Pan Rapacki, pomimo zaostrej może trochę charakteryzacyi, grał jak zwykle z niemałym talentem. Pan Tatarkiewicz był sympatycznym i wybornym. Role uczuciowych a lekkich amantów są dlań tak właściwemi, umie je on ożywić taką szlachetnością, takim wdziękiem dobrego zachowania się i wychowania, że zalety te, stawiają go niezawodnie w szeregu pierwszorzędnych naszych artystów. Panna Romana Popiel, malutkiej swojej rolce nadała wartość wyższą, grając inteligentnie i z wytwornem wykończeniem drobiazgów i szczegółów. Pan Ostrowski, chociaż niewłaściwy dla jego talentu charakter dostał mu się w podziale, był jak zawsze poprawnym i zdolnym bardzo artystą. Pan Chomiński bawił publiczność ile razy się ukazał na scenie. Pan Szymanowski, jak zawsze w rolach tego zakroju, był *paradnym urwisem*. Pani Ostrowska wdzięcznie wyszła z bladej rolki czułej amantki, a pan Grzywiński i p. Grubiński bardzo dystyngowanie dopełniali całości.

Zyg. Sar.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ernesta Buławy utwory dramatyczne. **„Joanna Gray“** obraz tragiczny z XV1 w. w pięciu odsłonach. Lwów, u Gubrynowicza i Schmidta, 1875.

Smutne dzieje Joanny Gray mogą służyć za wątek do dramatu, byle ten wątek snuła umiejętna ręka z zapału i serca. Na kartach czarnych wspomnień Anglii boleśnie cięży śmierć tej postaci pięknej w sobie, jasnej przez niezłomność bohaterską, wspaniałej przez moralne zwycięztwo nad nieprzyjaciołmi, którzy, widząc iż z niej posłusznego narzędzia mieć nie będą, zapragnęli się w niej pozbyć domniemanego wroga. Czy jednak sama Joanna Gray wystarczyła by do zapełnienia sobą dramatu czy tragedyi? Czy jej bohaterstwo w obec nieprzepartych a zwycięzkich ciosów, przeciwko niej zwróconych, nie było tylko siłą odporu, bierności?... Czyn, bohaterem dramatu może być ktoś, co nie uchyla wprawdzie czoła losom, ale nic też im nie przeciwstawi?... Dzieje Joanny są tragiczne bezspornie, lecz ona sama, według nas, na pierwszą postać tragedyi się nie nadaje. Czyż konsekwentność woli i siły, dążenie ku wielkim celom po przed niezgłębione przepaście — wszak ci to pierwsze i zasadnicze warunki dramatu.

Treść dramatu pana Ernesta Buławy jest taka, jąką była treść dziejów. Joanna ginie...jako ofiara płochej igraszki losów, jako bezświadome narzędzie w zuchwałych rękach Northumberlanda. Ten okrutny, ambitny a zbrodniczy magnat, aby domowi swemu zapewnić panowanie na tronie angielskim, podmawia słabego króla Edwarda II, aby wydziedziczył od tronu najbliższe następczynie na rzecz Joanny. Lady Gray, zaślubiona tajemnie synowi jego, Guilfordowi, wyrwana niespodzianie z zaciszy swej, gdzie rozmyślała nad kwestyami teologicznemi, śród uczonych mistrzów,—widzi się naraz na szczycie dostojeństwa i wielkości. Cicha, łagodna, gardząca ziemskiemi blaski —zostaje wtrącona w zawrotne koło władzy, po za którem przyjaciele jej zamieniają się we wrogów a wydziedziczone siostry zmarłego króla rozpoczynają z nią śmiertelny bój. Zwycięztwo ich kończy się śmiercią Joanny, a cios katowskiego topora jest dopełnieniem na niej igraszki losu.

W tragedyi pana Ernesta Buławy Northumberland jest jedynym, silnym i niezachwianym działaczem. Gubi on obydwóch Seymourów, wyzyskuje słabość Joanny, odbiera tronu dziedzictwo Maryi i Elżbiecie.. nie wybiera w środkach, byle iść ku jasno określonemu celowi. Możnaby go uważać za główną postać sztuki, gdyby nie to, że wprowadzenie go, zarówno jak i wyprowadzenie ze sceny, zdradza chęć autora, aby Northumberlanda uczynić figurą drugo-planową. Edward II, chwiejny, kapryśny młodzik, szczający się jak chorowity dzieciak, gra tu także podrzędną rolę, chociaż jeden pociąg jego pióra jest przyczyną, sprowadzającą w następstwie upadek i śmierć Joanny. Marya i Elżbieta, bezpośrednie sprawczynie tej śmierci, nie stoją tu także na pierwszym planie, a cały tłum figur większego lub mniejszego znaczenia ma na celu zarówno charakterystykę ogólną wieku i ludzi, jak udział w katastrofie tragicznej.

Tragedya p. Buławy szwankuje właśnie pod względem wyboru postaci głównej, i może dla tego autor nie nazwał jej wprost tragedyą, lecz obrazem. Jeżeli tytuł taki znajduje jakiekolwiekbądź usprawiedliwienie, to jest ono zarazem usprawiedliwieniem i dla błędów przez autora popełnionych. W obrazie tragicznym nie chodzi zapewne o bohatera głównego sztuki, ani o ścisły wątek, ani zresztą o jednolitość akcyi...i jeżeli usuniemy te warunki tragedyi, nie obowiązujące w obrazie, to „Joanna Gray“ będzie utworem bez zarzutu, pięknym przez dosadną charakterystykę, zajmującym przez rozwój faktów i rosnącą grozę, a wreszcie niepospolitym przez dzielne pióro p. Buławy, przez jego artyzm. Co do nas jednak, nie możemy się zgodzić, by niedopełnienie warunków rodzajowych sztuki dawało słuszny pohop do wyszukiwania jakichś nazw....pośrednich, może bezpiecznych, ale....wykrętnych. Obraz tragiczny jest dla nas tylko karykaturą tragedyi. Należymy do tych zacofańców, co to wierzą jeszcze w naiwności ducha, że dramat ma swą własną formę, swoje własne przyczyny i warunki bytu... że potępione gawędy o jedności akcyi, czasu i miejsca miały w sobie odrobinę prawdy, jakkolwiek dzisiaj w modzie jest z nich się wyśmiewać. Któż wie, czy „Joanna Gray“ pana Buławy byłaby skazaną na poćwiertowanie za pomocą *szesnastu zmian* dekoracyi, gdyby jej autor nie pogardzał owemi jednościami. Wprawdzie Szekspir zmieniał tak samo widoki i miejsca, ale po Szekspirze dramat uczynił nie jedną zdobycz co do formy i nałożył na autorów nie jeden obowiązek, a dowolność Szekspirowska nie zgadza się bynajmniej z dzisiejszemi wymaganiami zarówno sceny, jak i publiczności. P. Buława każe uskuteczniać owe zmiany nawet bez zapuszczania kurtyny.....nazywając to „barbarzyńską wygódką, sztukę ćwiartującą“. Ciekawą byłaby] taka ciągła fabryka na scenie w jego tragedyi, dokonywająca się pod oczami widzów. Jaką tym razem autor popełnia....swawolę, dosyć powiedzieć, że w jednej zmianie oznajmia, iż przypada właśnie „dzień urodzin króla“. Pod oczami widzów upływają więc dnie całe... ażeby się o tem przekonać, nie trzeba bynajmniej widzieć zachodzącego lub wschodzącego słońca, tylko służbę sceniczną, zastępującą sprzęty Northumberlanda sprzętami sali królewskiej.

Autor mógłby nam zarzucić, że się czepiamy drobnostek. Tych rzeczy za drobnostki nie uważamy bynajmniej. „Obraz tragiczny“ pana Buławy jest dla nas utworem niepospolitej wartości, ale nie dosięgnie on nigdy szczytu, na którym stoi *prawdziwa* tragedya. Wszelkie „obrazy“ w przekonaniu naszem są tylko wytworami gorączki autorskiej, która nie pozwala najzdolniejszym pisarzom tworzyć rzeczy pełnych, skończonych w sobie, doskonałych—bo nie pozwala obmyślać i opracowywać. I p. Buława pod tym względem zdradził owę gorączkę....Jesteśmy pewni, że gdyby umiał nad nią zapanować, mógłby niezawodnie napisać tragedyą, którąby się chlubiło piśmiennictwo nasze.

S. M. Rzętkowski.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Lód przechowuje się** dosyć długo, nawet w bardzo małej ilości, w ciepłym pokoju, włożywszy go w głęboką miskę, nakrywszy talerzem i wstawiwszy w łóżko, pod pierzynę. Mianowicie przy chorych jest to doskonały sposób powstrzymania lodu na dłuższy czas od stopnienia.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Сентября (9 Октября) 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 53).

Tym razem De Benham znalazł więcej czasu, żeby bywać w towarzystwie i brać udział we wszystkich zabawach i wycieczkach, na jakie go zapraszano. W Hawannie zadanie jego było daleko trudniejszem, w Mobile znajdował się pomiędzy obcymi, ale tutaj mógł się spuścić na pilność i dobrą wiarę panów Harfer, Prideaux i Barbuckle, i innych mających z niemi stosunki. Bywał więc dużo w świecie, a szczególnie tam gdzie mógł spotkać córki półkownika Ashby.

Jednego wieczora, było to w domu samego pana Ashby, Arczy wyjawił że De Benham grał i był artystą. Powiedział to Joannie, najmłodszej z sióstr z którą przyzwyczaił się przeglądać fotografie, siedzieć na osobności, i rozmawiać po całych godzinach o niczem.

— Pan De Benham gra? powiedziała Joanna Ashby. Ale cóż gra?

— Co tylko pani chcesz, Bethowena, Mozarta, Mendelsohna, cokolwiek przed nim postawisz.

— Zapewne więc gra na fortepianie.

— Tak, i na skrzypcach, i na organach, a potem improwizuje; chciałbym żebyś go pani słyszała improwizującego.

— Twój przyjaciel jest więc geniuszem, pa nie Blyth?

— Jest prawdziwym geniuszem, odpowiedział Arczy z zapałem, i nie tylko w muzyce celuje, ale ma wielką zdatność do języków, i nadzwyczajne zdolności do handlu. Nie wyobraża sobie pani, panno Joanno, co to za rzadki człowiek.

— W każdym razie szczęśliwy jest, jeżeli wszyscy jego przyjaciele umieją go tak ocenić, powiedziała Eleonora Ashby stanąwszy w tej chwili za krzesłem siostry. Czy mogę się zapytać kto jest ten geniusz?

— Jest to p. De Benham, odpowiedziała druga. P. Blyth powiada że jest wielkim artystą. Poproś go żeby zagrał.

Eleonora Ashby poszła spełnić polecenie siostry; ale De Benham, który się nie dotknął żadnego instrumentu od czasu kiedy porzucił zawód organisty, byłby chętnie się wymówił.

— Straciłem wprawę, tłómaczył się; od tylu miesięcy nie grałem.

Ale Dyana Ashby dorzuciła swe prośby i uległ.

Zaczął od dzikiego preludium Bacha, jakby od gwałtownego potoku nut, po którym nastąpiły ciężkie akordy, uderzające o ucho jedne po drugich, jak huk starożytnych dębów zwalonych burzą; potem przechodząc w mniej posępne tony zakończył fantazyą Szopena, jednym z najwykwintniejszych, najfantastyczniejszych, najlżejszych utworów tego mistrza ideału; nadpowietrzne duchy mogłyby wyśpiewać podobne melodye w zaczarowanych ogrodach, a ukołysane temi słodkiemi dźwiękami, unosić się w wesołych pląsach, przy świetle księżyca. A gdy tak palce jego przesuwały się po klawiszach, nie straciwszy ani siły ani łatwości, De Benham uczuł, jak dawna wrodzona, namiętna miłość sztuki, jak natchnienie dane mu od Boga, budziły się w jego sercu, gwałtownie, z nieprzepartą siłą, będącą prawie cierpieniem, i z niemi także powróciło to uczucie potęgi, towarzyszące prawdziwie wyższej grze i będące najlepszą nagrodą artysty.

Gdy raz zaczął, byłby chętnie tak dalej spędził wiele godzin, i z żalem opuszczał fortepian, ale nie pozwolono mu wstać; błagano żeby jeszcze grą swoją ich czarował.

— Zagraj nam co z własnej kompozycyi, panie De Benham, powiedziała Dyana Ashby.

— Lękam się, że żadnej nie będę sobie mógł przypomnieć.

— Niech palce pana przypomną je sobie.

— Nie mogę im tyle wolności zostawiać. Gdybym je tak swobodnie puścił, uniosłyby mnie, i Bóg tylko wie jak i kiedy bym się zatrzymał. Może nigdy!

— Jesteśmy gotowi poddać się podobnym następstwom, powiedział śmiejąc się pułkownik Ashby; w takim razie, zrobilibyśmy z pana obywatela naszych skonfederowanych stanów.

— Zdaje mi się że pan najgorzej wyszedłbyś na tem, odpowiedział De Benham, mimowoli spoglądając na piękną Dyanę.

Łatwo, pamyślał, możnaby sobie wystawić los okrutniejszy.

Na nowe nalegania, zagrał ich ulubioną, południową melodję, *Dixie's Land*, czyniąc z niej temat do cudownej improwizacyi, improwizacyi, jakiej podobnej nikt nie słyszał. To oddawał ją z żałośną prostotą, jak śpiew smętnego, samotnego głosu, to ją otaczał wszystkiemi bogactwami harmonii, tworząc z niej uroczysty chórał, albo znowu powtarzał ją w urywanych ustępach, bawiąc się nią, ścigając ją po klawiszach, strojąc ją w najdziwaczniejsze przekształcenia, w najświetniejsze ozdoby, i nareszcie zakończył tryumfalnym marszem, w którym zdawało się słuchaczom że rozpoznają pochód wojsk i pieśń zwycięztwa.

Gdy zakończył milczenie trwało przez chwilę, a potem wszyscy go otoczyli, dziękując i uwielbiając. Dyana Ashby tylko nic nie mówiła; czekała dopóki każdy swych uczuć nie wypowiedział; i dopiero później, kiedy już czem innem zajęci byli i lokaje roznosili kawę z lodu, zwróciła się do Debenhama i powiedziała:

— Szczególnem to jest, panie De Benham, żebyś ty, Anglik, tak umiał cudownie oddać naszą narodową muzykę, rodak tylko powinienby, o ile się zdaje, tak głęboko poruszyć nasze serca.

— Jakże mam odpowiedzieć na takie pochwały? powiedział De Benham.

— Powinniśmy doprawdy pana zatrzymać, i jak mój ojciec mówił, zrobić z niego obywatela naszych sfederowanych stanów.

— I tak jestem nim w pewnej części, odpowiedział De Benham. Artysta jest obywatelem całego świata.

— Dawnego świata; odpowiedziała prędko, dawnego świata, tej kolebki sztuk i piękna, ale nie naszego nowego, z jego materyalnemi potrzebami, z jego zabiegami za postępem materyalnym.

— Artysta może w samej rzeczy niewiele czuje pociągu do zwykłego materyalnego postępu, przedstawionego przez maszyny parowe, maszyny do szycia i t. d. ale ma współczucie dla poświęcenia i dla wszystkiego co szlachetne, a tego w żadnym narodzie nie brak.

— My dbamy właśnie przedewszystkiem o współczucie, powiedziała panna Ashby.

I znow zaczęła mówić o wojnie, o uczuciach z jakiemi spoglądano na nią w Anglii i o powodach naglących rząd angielski do przyjścia w pomoc oderwanym stanom.

— Dla własnego waszego dobra musicie tak uczynić, dowodziła.

— Narody, równie jak i jednostki, nie umieją czasem poznać tego co jest dla nich dobrem, powiedział De Benham szukając ucieczki w ogólnikach, i serdecznie sobie życząc, żeby piękna Dyana nie miała takiego upodobania do polityki.

— Ale nie narody handlowe, kiedy handlowa ich pomyślność jest zagrożona.

— Pomyślność nasza nie zależy jedynie od bawełny, powiedział De Benham uśmiechając się. Zresztą nie o tem tylko wypada myśleć; zostawiając na boku tę kwestyą, lud nasz oświadcza się za pokojem.

— A jednak jesteśmy waszą krwią, mówimy waszym językiem, pochodzimy od wspólnych przodków, spojeni jesteśmy z wami tysiącznemi węzłami, nie mówiąc już o tej bawełnie przez nas dostarczanej i dającej zajęcie milionom w waszym kraju.

De Benham jęknął w duchu; śmiertelnie był już znudzonym ciągłem przypominaniem tych milionów robotników czekających na bawełnę.

— Ale to wszystko można by także powiedzieć o mieszkańcach Północy, są także naszą krwią, mówią także naszym językiem, z nimi także utrzymujemy liczne stosunki handlowe.

— Więc pan trzymasz z naszymi nieprzyjaciołmi! zawołała panny Ashby, a żywy rumieniec oblał jej lica i oparła się o poręcz krzesła, jak gdyby chciała powstać.

De Benham spojrzał na nią, wzruszony nie jej oburzeniem, ale blaskiem jej piękności.

— Nie, doprawdy powiedział, nie swoje wyrażałem zdanie, lecz ogólne, starając się pani okazać w jak różnem świetle można się zapatrywać na ten przedmiot, z tamtej strony Atlantyku. Tyle jest powodów, dla których my w Anglii chcielibyśmy uniknąć wojny; nie chcemy rozlewu krwi, wydatków pieniężnych, handel nasz by wiecej ucierpiał.... Wahał się, nie mógł wyjawić myśli swojej, nie mógł jej powiedzieć: Jesteście odważni i pełni poświęcenia, pochodzenie mamy wspólne, hodujecie tę bawełnę tak nam potrzebną, ale sprawa wasza splamioną jest grzechem niewolnictwa, a po stronie niewoli stanąć nie możemy i nie chcemy. Nie mógł tego powiedzieć Dyanie Ashby, wolał wiec zamilknąć.

— I wasze współczucie dla nas nie jest dosyć silne żeby przeważyć szalę na naszą stronę, powiedziała z goryczą.

— Dotąd nie, odrzekł, jeżeli mam sądzić z ostatnich gazet jakie mnie doszły.

— Musimy więc dalej wytrwać jak zaczęliśmy, sami, i wytrwamy do ostatka.

To powiedziawszy wstała i przeszła do drugiego pokoju, i De Benham uczuł, że niezadowolenie ukryte w tych ostatnich słowach i w tem nagłem odejściu, rozciągało się i do niego.

Trochę później, gdy się goście rozchodzili, znalazł się znowu przy niej.

— Panno Ashby, powiedział, nie chciałbym żebyś źle sobie tłómaczyła moje słowa; mówiłem w imieniu Anglii nie w swojem.

— A cóż byś powiedział w swojem, panie De Benhamie? spytała Dyana.

— Powiedziałbym, że nie jestem wolnym, że ręce moje związane, że przysiągłem być wiernym obowiązkowi, którego spełnienie zabierze najpiękniejsze lata mego życia, i przed którem wszelkie inne względy muszą uledz; ale powiedziałbym ei także, pani, że gdyby nie ta święta powinność, gdybym mógł życiem mojem rozporządzać, wszystkobym opuścił i waszej sprawie się oddał.

— Uczyniłbyś pan to dla nas, doprawdy? zawołała żywo.

I gdy to mówiła oczy jej zajaśniały tym ciemnym i olśniewającym płomieniem, przed którym zapominał o wszystkiem i panować nad sobą już nie umiał.

— W każdym razie uczyniłbym to dla ciebie pani, powiedział zniżając głos.

Panna Ashby zaczerwiniła się, i gdy Arczy zbliżył się w tej chwili żeby jej życzyć dobrej nocy, pożegnała obydwóch panów trochę zimno.

— Ta Joanna Ashby jest najmilszą dziewczyną jaką widziałem w życiu, powiedział Arczy z zapałem, kiedy powracali przy świetle księżyca do hotelu.

— Strzeż się przyjacielu, strzeż się zasadzek, odrzekł De Benham. Najmilsze dziewczyny jakie się w Charleston znajdują, są dla ciebie i dla mnie najkwaśniejszemi winogronami.

— Nie wiem dla czego? zapytał Arczy.

— Nie wiesz? Czy więc byłbyś gotów stanąć po stronie skonfederowanych, lub przeciskać się przez blokadę, ile razy byś ją chciał odwiedzić?

— Nie—zapewne.

— I ja też nie. Może więc lepiej dla nas obu, że jutro wieczór musimy wyjeżdżać. Te piękne córy Południa są niebezpieczne.

ROZDZIAŁ VI.

Koleje losu.

De Benham miał słuszność kiedy mówił, że dobrze było dla niego i dla Arczy że już nazajutrz musieli wyjeżdżać. Ludzie żyjący po kolei na morzu i na ziemi stają się, samą siłą okoliczności, wrażliwsi od innych na wpływ pięknych oczów, jakie spotykają na stałym lądzie po długiem osamotnieniu, a wcale nie było do życzenia, żeby który z nich uległ pod spojrzeniem pięknych oczów panien Ashby. De Benham przynajmniej nie miał żadnej ochoty tak się dać opanować. Wiedział, że dla niego największem nieszczęściem (pomijając naturalnie schwytanie przez federalny statek) byłyby ściślejsze stosunki z Dyaną Ashby; owoc jego pracy zostałby zmarnowany, i wszelkie nadzieje na przyszłość byłyby zniweczone. Ten ktoby ją ukochał, musiałby równie jak ona wszystko poświęcić sprawie tak miłej jej sercu; chcąc jej się podobać, trzeba było na prawdę stać się obywatelem skonfederowanych stanów, a De Benham nigdy się na to nie zgodził. Wiedział że nigdy nie wyrzecze się swego dawnego tytułu, nie opuści swego kraju, nie porzuci nadziei odzyskania majątku swych przodków, dla żadnych oczów, niebieskich, czy czarnych, z tej lub tamtej strony Atlantyku, chociażby były najpiękniejszemi z tych jakie kiedykolwiek natchnęły rycerza lub poetę. Nie mógł się więc żadnym sposobem zakochać w najstarszej z panien Ashby, a czując, że coraz bliżej był tego rezultatu, winszował sobie iż musiał już się oddalić.

Chwila wyjazdu była już bliską. Dotąd tak się wszystko udawało, że załoga okrętu zaczynała się chwalić iż *Ptak Burzy* urodził się pod dobrą gwiazdą, że nieszczęścia jakie spotykały inne statki jego nie mogły dotknąć. Dwa razy tam i nazad szczęśliwie przepłynęli; połowę trzeciej podróży już odbyli. Trzy ładunki różnorodnych towarów zostały rozprzedane po bajecznych cenach; dwa ładunki bawełny płynęły w tej chwili do Liwerpool na *Sabrinie*, a trzeci był już zakupiony i znajdował się na *Ptaku Burzy*, gotowym do odpłynięcia. Nie potrzebujemy mówić, że okręt już dziesięć razy opłacił wszystkie poczynione na urządzenie go wydatki. Nic dziw więc, że kapitan i załoga, wszyscy dobrze w pieniądze zaopatrzeni, cieszyli się i chwalili swem szczęściem.

Tym razem De Benham doznawał większej obawy niż zwykle i czuł rodzaj smutku, Dyana Ashby się może do tego przyczyniła, tak przynajmniej sobie mówił, i dodawał, że szalonym był aby tak się żalowi poddawać. Za nic w świecie nie chciałby przyznać, że ten smutek był skutkiem tej nieokreślonej niespokojności, zwanej złem przeczuciem, a jednak w głębi serca byłby dużo dał, żeby odłożyć wyjazd o dwadzieścia cztery godzin. Gdyby się był jaki powód do tego nastręczył, byłby doznał wielkiej ulgi, i nawet gdyby mógł był wymyślić jaką rzetelną przyczynę do opóźnienia, byłby w tej chwili z niej korzystał, i według niej działał bez wahania. Dyana Ashby, chociaż tak urocza i chociaż tak mu przykro było od jej wdzięków się oddalać, bynajmniej nie była przyczyną tej niespokojności i ukrytych przeczuć.

O jedenastej z rana po wspomnionym wieczorze, Ptak Burzy, zabrawszy swój zapas węgla, udał się na to samo miejsce co pierwszym razem opodal zamku Pinckey, żeby tym samym formalnościom się poddać. O siódmej wieczorem mieli podnieść kotwicę, żeby przepłynąć przez wał jak tylko się ściemni. Tymczasem Polter poszedł do głównej kwatery, żeby się dowiedzieć o sygnałach używanych przez okręty federalne, a De Benham miał jeszcze różne papiery do podpisania, wizyty pożegnalne do oddania i t. p. Po między wizytami ostatnią z rzędu, dla tego może że najważniejszą mu się wydawałą, była ta, którą chciał złożyć pułkownikowi Ashby i jego córkom.

Pułkownika Ashby nie było w domu, ale zastali panie w ogrodzie, rozciągającym się aż do brzegów rzeki i podobnym ze swemi zielonemi murawami i kląbami rozłożystych drzew do części oderwanej z parku angielskiego. Pod cieniem jednego z tych drzew były rozłożone maty, na nich stały kołyszące się krzesła i stół okryty robotami i książkami. De Benhamowi zdawało się kiedy czarny lokaj prowadził go wraz z Arczy, że nigdy nie widział tak ślicznego obrazu jak ten, który tworzyły trzy piękne i młode kobiety siedzące wśród zieloności w białych sukniach odbijających się na ciemnem tle drzew i krzewów.

— Ale się nie długo zobaczymy, powiedziała Eleonora, gdy podróżni po chwili powstali żeby się pożegnać. Panowie tylko do Nassau jedziecie?

— Jedziemy tylko do Nassau, powiedział De Benham, ale nasz okręt musi być naprawiony nim nową wyprawę przedsięweźmiemy; a przez ten czas spodziewam się, że będę mógł pojechać do Anglii na parę tygodni.

— Ale powrócicie, kiedy *Ptak Burzy* będzie gotów, i zobaczymy was znowu w Charleston.

— Jeżeli blokada nie stanie się zanadto ścisłą. Słyszałem, że mają zatopić okręty naładowane kamieniami przy wejściu do przystani.

— Nie wierz temu panie De Benham, zawołała Dyana. Oni nie będą śmieli tego uczynić!

— Nie o to idzie czy będą śmieli, ale czy będą mogli to zrobić, powiedział De Benham.

— Bądź więc pewny że nie będą mogli, dla tego że im nie pozwolimy. Czy myślisz panie Debenham, że spokojnie będziemy stać i patrzeć jak piękna nasza przystań, ten dar dany od Boga tym, którzy na okrętach puszczają się na morze, zostanie na zawsze zniszczonym?

— Nie, zapewne, jeżeli największa odwaga na lądzie będzie mogła temu przeszkodzić.

— Chcesz pan powiedzieć że nam brak morskich sił. Ale niedługo będziemy mieli nasze pancerne okręty i nasze kanonierki.

Wolno szli ku domowi, i De Benham zatrzymawszy się chwilę, jak gdyby chciał raz jeszcze zobaczyć widok jaki ztąd miano na port, pozostał trochę w tyle wraz ze swoją towarzyszką.

— Czy mi pani nie dasz jakiej pamiątki? powiedział po chwili; nie na to jednak żeby mi przypominać szczęśliwe godziny tu spędzone, bo nic nie zatrze ich wspomnienia, nad to może żywego.

— Cóż mogłabym ci dać, panie Debenham? spytała panna Ashby uśmiechając się.

— Kwiatek, rękawiczkę, kilka słów twoją ręką napisanych, wszystko mi jedno.

— Dostaniesz pan fotografią na której wszystkie trzy jesteśmy razem przedstawione jako Gracye, lub jeżeli wolisz, jak Czarownice Makbeta.

— Będę pani bardzo wdzięczny za fotografię, powiedział De Benham; ale chciałbym posiadać przedmiot jaki będący darem od ciebie tylko. Daj mi, przebacz mojej śmiałości, daj mi tę wstążkę wiszącą u twego rękawa; zaledwie na jednej nitce się trzyma.

Dyana zarumieniła się, wahała się chwilę, ale podała mu wstążkę i nie czekając żeby jej podziękował, zawołała na młodszą siostrę prosząc jej, żeby przyniosła dwie fotografie, po jednej dla każdego z przyjaciół.

Arczy przyjął swoję z gorącemi podziękowaniami i oświadczeniami, nie tając bynajmniej żalu z jakim odjeżdżał.

— Nie wiem doprawdy, czybym miał odwagę wyjechać, gdyby nie nadzieja powrotu, rzekł. Powiedz mi pani, panno Joanno, co mam ci przywieźć z Anglii. Żądaj proszę cię, czegoś, i niechaj to coś będzie trudnem do dostania; im więcej trudności doświadczę, tem szczęśliwszym będę.

Joanna Ashby odpowiedziała naturalnie z początku że niczego w niebie ani ziemi nie pragnęła, ale nareszcie wyznała, że życzeniem jej serca było posiadać autograf poety Tennysona, i Arczy poprzysiągł że go będzie miała chociażby trzy razy musiał obejść wyspę Wight, gdzie zamieszkiwał, wielki ów człowiek.

Tymczasem De Benham, pożegnawszy się z dwoma siostrami trzymał rękę Dyany w swojej, i zatrzymywał ją daleko dłużej niż wymagało zwyczajne pożegnanie, i ściskał ją daleko mocniej, jak gdyby się obawiał że ją wyrwie, ale ona się o to nie kusiła.

— Do widzenia, powiedział nareszcie, do widzenia Panno Ashby. Nie zapominaj o mnie.

— Do widzenia, panie De Benham, powiedziała, i niechaj ci szczęście towarzyszy.

— I tobie, i tobie droga pani.

Zdawało mu się że głos jej zadrżał, spojrzał na około, zobaczył że tamci już byli przy bramie i że nikt na nich nie patrzał, nachylił się nad jej ręką, powiedział po cichu: Przebacz poniosł ją do ust i szybko się oddalił.

— Nigdy z takim smutkiem nie odjeżdżałem! zawołał Arczy, kiedy się już zbliżali do Charleston. Co do Joanny Ashby, powiadam... powiadam że wszystko na świecie uczyniłbym dla niej.

— Jest to niebezpieczny stan umysłu! powiedział De Benham, myśląc o własnych uczuciach które tak o mało za daleko go nie uniosły.

— Ale czyż nie jest uroczą?

— Mój kochany, wszystkie trzy są urocze; tak urocze, że jeżeli szczęśliwie przyjedziemy tym razem, zdaje mi się że nie odważę się już przepłynąć wału portu Charleston.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Сентября (9 Октября) 1875 г.